

POWIEŚĆ i NOWELA

*bezpłatny dodatek dla prenumeratorów tyg. „Świat”
do numeru 5-go „Świata” z dnia 2. II. 1935 r.*

Przystępujemy do wydawania czasopisma tygodniowego, poświęconego powieści, noweli, humoresce i dowcipowi. Stawiamy sobie jako cel dostarczenie naszym Czytelnikom lektury beletrystycznej bardzo starannie wybranej, zarówno z pośród oryginalnych dzieł autorów polskich, jak i najcenniejszych przekładów. Zaczynamy w numerze niniejszym druk dwu powieści, z których każda posiada wysokie zalety.

Zoricza „Powieść lekkomyślna” jest lekką, pełną zjadliwego humoru satyrą na stosunki sowieckie, jest bystrem spojrzeniem w zamknięty dla cudzoziemców świat codziennego życia rodziny rosyjskiej.

Estaunié, członek Akademii Francuskiej, tegoroczny kandydat do Nagrody Nobla, jest pisarzem poważnym, poruszającym zagadnienia głębsze w swej powieści „Głos z za świata”.

Nie wątpimy, że obie powieści drukowane na łamach naszego wydawnictwa zainteresują Czytelników.
REDAKCJA.

A. ZORICZ

(Przekład H. Winawerowej).

POWIEŚĆ LEKKOMYŚLNA

I

Przez odemknięte drzwi wsunęła się wielka drewniana donica, w której sterczała sucha zakurzona palma — taka, jakie się widywało dawniej w bufetach na małych stacjach kolejowych. Za palmą ukazała się postać Ziablikowa, przyciskającego donicę do swego zapadłego brzucha.

Ziablikow był chudy, jak szkielet. Marynarka, którą nosił, wisiała na nim, jak na wieszaku. Na cienkiej, ptasiej szyjce wystawała wielka grdyka.

Postawiwszy donicę na środku pokoju, otarł pot z czoła, podszedł do okna, wysunął głowę i zawołał:

— Tutaj! Drzwi na lewo! Ostrożnie! Głasza idjotka! Przecież wszystko potłuczysz! Utrapienie z tą dziewczyną!

Na schodach rozległy się kroki i do pokoju doleciał ostry, podniecony głos kobiety:

— Maszynkę do mięsa wzięliście? A gdzie jest portret? Głasza, prędzej!

Głasza, uginając się pod ciężarem, wciągnęła kosz do pokoju. W koszu było pełno starych butelek, kaloszy i gałganów, pokrytych kurzem. Na froterowanej, świecącej podłodze utworzyła się szara smuga.

Tragarze, stukając ciężkimi butami, klnąc i sapiąc, wnosili rzeczy. Rzeźbione pękate komody z oblupanymi listwami, olbrzymie pierzyny i poduszki w brudnych powłóczkach, kredens i szafy z oberwanymi kółkami, kanapy i krzesła z wystającymi sprężynami, obite tanią różową tkaniną, jaskrawe parawaniki, etażerki i t. d. — wszystko to było dziwnie ciężkie, niezgrabne, niegustowne i wydawało stęchły zapach, świadczący, że meble stały w wilgotnym, nieprzewietrzanym mieszkaniu.

Ziablikowa uwijała się między meblami, licząc je i zginając przytem palce. Była to wielka, barczysta kobieta, z postaci podobna do matki-komendantki z powieści Pisiemskiego, albo do grenadjera z czasów mikołajewskich, grającego kobietę w teatrze dla żołnierzy. Gruby głos i czarne wąsiki nad górną wargą potęgowały to wrażenie. Mąż wyglądał przy niej, jak karzełek, stojący u podnóża kolosa Rodoskiego.

— A nimfa? — zawołała nagle, rozglądając się dokoła niespokojnym wzrokiem. — Gdzie jest krajobraz z nimfą?

— Nimfę wsunąłem do samowaru — odrzekł Ziablikow.

— Do samowaru? Razem z portretem dziadka? Gołą kobietę? Do jednego samowaru ze starcem?

— A co im się tam stanie w samowarze? Jeszcze wetknąłem między nich torebkę z naftaliną.

— Jak Boga kocham, oszaleć można z tym człowiekiem! A kozetka? Gdzie jest kozetka od garnituru? Głaszka, skocz nadół, powiedz, żeby ją nieśli ostrożnie, bo nóżki ma złamane! Serafina, gdzie jesteś?

— Tutaj.

Serafina, wszedłszy do pokoju, od razu rozparła się w bujającym fotelu i zaczęła dłubać w zębach szpilką podwójną, którą wyjęła z włosów. Serafina stała żuła słodczyce, których resztki wchodziły między zęby. Głos miała ospały. Na jej anemicznej twarzy o wyblakłych oczach malowały się obojętność i znudzenie.

— Dosyć tego dłubania w zębach! — krzyknął Ziablikow ze złością i wyrwał jej z ręki szpilkę. — Dłubie od rana do wieczora, a ojciec potem musi płacić za plomby! Lepiej pomogłabyś Żorżowi rozpakować rzeczy! Hrabina!

— Ani myślę — odpowiedziała przez nos obojętnym głosem i nie ruszając się z miejsca, znowu wpakowała do ust cukierek.

Drzwi od sieni otworzyły się, i do pokoju wszedł młody człowiek w modnej marynarce, wciętej w talji. Na klapie miał znaczek inżyniera. W rękę trzymał nowiutką skórzaną walizkę. Modny fason marynarki, świecące lakierki na nogach, śnieżna białość koszuli, idealnie równy przedział na głowie i bijący od niego zapach perfum — nadawały mu wygląd wielkiego eleganta. W ustach trzymał pozłacany munsztuk. Przez plecy miał przerzucone palto w kratę z doskonałego zagranicznego koru.

Serafina od razu ożywiła się i, uniósłszy się na fotelu, poprawiła opadające pończochy.

— Przepraszam, — zapytał inżynier z przesadną grzecznością, uchylając kapelusza. — Czy to jest numer dziewiąty mieszkania?

— Tak.

Ziablikow spojrzał spodłba swemi maleńkimi, świdrującymi oczkami. Inżynier odwrócił się i poszedł wgłąb mieszkania.

— Jak on dziwnie spojrzał na mnie — powiedział przez nos Serafina. — Jakgdyby prąd magnetyczny przebiegł od niego.

— Przebiegł, ale się nie zatrzymał, — odrzekł z westchnieniem Ziablikow.

— Samiście winni! Macie jedyną córkę, a ubieracie ją jak praczkę! Głupiego beretu doprosić się nie mogę! A w panamie oczywiście wyglądam, jak skończona idjotka!

— To nie wina panamy — Ziablikow znowu westchnął.

— Od samej wiosny proszę się o beret przybrany wiśniami.

— Co to pomoże! Gdyby o to chodziło, kupiłbym ci beret przybrany nie tylko wiśniami, ale arbuzami. Cóż, kiedy przyczyna leży gdzieś indziej.

— A gdzie? Myślę, że chyba nie należę do brzydkich.

— To mało, że ty tak myślisz. Chodzi o to, żeby oni też tak myśleli. Ale nie chcą... Zmówili się widocznie, łajdaki!...

— Osioł... — mruknęła pod nosem Serafina.

— Jak ty śmiesz, szelmo jedna, tak mówić do ojca?

W tej chwili przed Ziablikowym stanęła żona, trzymając w rękę ścierkę. Rzuciła na niego groź-

ne spojrzenie i zasłaniając córkę swem barczystem ciałem, zawołała:

— Dość tego! Nie drażnij dziecka! Dziecko i tak jest zdenerwowane! Ma rację! Mógłbyś się wreszcie postarać o męża dla jedynej córki!

— A skąd go wytrzasnę? Za kartkami mężów nie wydają!

Na progu stanął elegancki inżynier.

— Przepraszam — powiedział. — Gdzie mógłbym dostać klucze? Pokoje są zamknięte.

— Rządca poszedł po klucze, za chwilę przyniesie.

— A, taki grubas... Z fioletowym nosem? Spotkałem go na schodach.

— Widocznie lubi łyknąć... Ten, tego... Jak to się mówi, wogóle niepijący, ale z lekkich win lubi konjak... Ha, ha, ha... — Ziablikow roześmiał się nienaturalnie.

Inżynier usiadł na walizie. Ziablikow przyglądał mu się bez ceremonji, potem obszedł go, jak krawiec, który ogląda na manekinie wykończony przed chwilą garnitur. Przegląd wypadł widocznie dobrze.

— Pan raczy pracować w naszym truście? — zapytał, przymilając się. — Jako inżynier?

— Tak. W fabryce numer drugi.

— Bardzo mi przyjemnie, bardzo przyjemnie... Pozwoli pan, że się przedstawię, jako przyszły sąsiad: Ziablikow, kasjer, — bezpartyjny.

— Pokońców.

Inżynier podniósł się i wyciągnął białą, wypielegnowaną rękę o różowych lakierowanych paznokciach.

— Moja żona — przedstawił Ziablikow — z domu Swinkowska.

— Bardzo mi przyjemnie — rzekła Ziablikowa, krygując się i poprawiając na piersi broszkę, przedstawiającą serce, przeszyte strzałą. — Czy pan lubi naturę?

— Moja córka Serafina.

Serafina wstała, poprawiła opadające pończochy i rzuciła przelotne spojrzenie w lustro na swą fryzurę. Włosy miała farbowane na blond, lecz odrastające przy skórze były czarne. Sprawiało to wrażenie, że skóra pokryta jest grubą warstwą brudu.

— W studjum, gdzie się kształcę — powiedziała nienaturalnym głosem — też jest Pokońców. Czy to krewny pana?

— Nie.

— Patrzcie państwo. A taki podobny. Też brunet, też ma wasy.

— Bedzie śpiewaczką — poinformował inżyniera Ziablikow, i przesunął ręką po włosach córki.

— To dobrze — odpowiedział inżynier.

— Może to przyszła gwiazda — jakaś druga Patti albo Izadora Duncan.

Inżynier uśmiechnął się.

— Izadora Duncan nie była śpiewaczką, lecz tancerka.

— To wszystko jedno! Na pewno też dostała kartki żywnościowe pierwszej kategorii. Czy pan nieżonaty?

— Nie — odrzekł inżynier i spojrzał na niego zdziwiony.

Małe oczki Ziablikowa zaczęły biegać w różne strony, palce poruszały się szybko. Te zawodowe ruchy kasjera oznaczały natężoną pracę myśli.

— Dam panu radę — zawołał. — Przyjaciół-

ską radę! Niech się pan pośpieszy! Co warte jest kawalerskie życie? Ściskanie w dołku, katar kiszek, oberwane guziki, skarpetki przewiązane szpagatem, we włosach łupież...

— Dla łupieżu niewarto się żenić. Głowę fryzjer może doskonale umyć szampunem.

— Alboż pan znajdzie teraz dobry szampun! Co to za szampun! Trucizna na pluskwy, a nie szampun. Człowiek łysieje po takim myciu! A w domu, rozumie pan, żona przygotowuje żółtko od jajka, ubije, będzie pianka... błyszczy, świeci się... Co za porównanie! Albo do obiadu da panu majonezik, przystroi kwiatkami — palce lizać! Dobrze panu radzę, niech się pan żeni.

— Dziękuję — odrzekł chłodno inżynier. — Myślałem, że takie rzeczy spotyka się już tylko w starych wodewilach.

— Co? Majonez z kwiatkami?

— Nie. Taką filozofję.

Ziablikow nie wiedział, jak to przyjąć i jak zareagować. Chciał coś odpowiedzieć i już otworzył usta, gdy nagle drzwi otworzyły się naosiecz i do pokoju weszła Głasza, ciągnąc starą kozetkę z wyłamanymi nóżkami. Twarz miała zapłakaną, usta wykrzywione, a na policzkach czerwone plamy. Tuż za nią szedł Żorż, trzymając w ręku sosjerkę.

— Głasza, ostrożnie! — zawołała Ziablikowa — uważaj na nóżki! Czego się mażesz, idjotko?

Żorż zwrócił się do matki i powiedział szepciem:

— Ułamała ucho od sosjerki. Powiedziałem, że jej wytrącimy z pensji dziesięć rubli.

— Co-o? — krzyknęła Ziablikowa, a oczy jej rozszerzyły się i górna warga wraz z wąsikami ściągnęła się ze złości. — Co-o? Jak ty śmiesz, małpo jedna, ciskać nasze rodzinne sosjerki?

— Ja nie ciskam — powiedziała Głasza i, usiadłszy na koszu, rozplakała się na dobre. — Cała sosjerka kosztuje rubla, a mnie chcą wytrącić dziesięć!

— Śluszenie! To jest pamiątka rodzinna, więc ma dla nas większą wartość!

— Mamo, — odezwał się Żorż — czy nie możemy zamknąć okien? Jest przeciąg. Jeszcze się przeziębimy.

— Głasza! Zamknij prędzej okna! Rozsiadła się, jak wielka pani!

W tej chwili wszedł do pokoju rządca, trzymając w ręku pęk wielkich, ciężkich kluczy. Spojrzał dokoła zaspą, obojętnym wzrokiem, i zapytał również zaspą, obojętnym głosem:

— Pokoziłow — który to? Pan? Nalewo numer czwarty. Pojedynka!

— Fe! — powiedział inżynier, biorąc klucz z ręki rządcy. — Co za nazwa! „Pojedynka“. Zupnie, jak w więzieniu.

— Tak powiedziane w instrukcji.

Pobrzękując kluczami, rządca zdjął z kółka drugi.

— Ziablikow? Nalewo, numer szósty! Familijny!

— A kto mieszka w środkowym pod numerem piątym?

— Pod piątym napisane — Michiejew.

Ziablikow nasrożył się. Palce u rąk zaczęły biegać.

— Michiejew? Który to? Ten, którego miano-

— Nie wiem.

— Dopiero wczoraj czytałem o tem w gazecie.

— Czytanie gazet nie wchodzi w zakres naszych obowiązków. Rządca obowiązany jest tylko czytać instrukcje.

— Niech mi pan pokaże spis! Michiejew I. I. Ależ tak! Te same inicjały! To on!

— Fimusia, — zwróciła się do córki krzątająca się między rzeczami Ziablikowa. — Na wszelki wypadek powinnaś umyć szyję.

Serafina, która już znowu leżała rozparta w bujającym fotelu, przeciągnęła się leniwie i odpowiedziała:

— Nie wiem poco.

Żorż pochylił się ku siostrze i powiedział jej do ucha:

— Skoro masz się tutaj spotykać z młodymi ludźmi, musisz się odpowiednio zachowywać. W ostateczności przypudruj szyję lub włóż szalik.

Ziablikowa spojrzała na niego z zachwytem.

— Ty mój najdroższy! On zawsze powie coś mądrego. Ma głowę nie od parady.

— To dziedziczne — odezwał się Ziablikow. — Wrodził się w ojca.

Tragarze, ocierając pot z czoła, podnosili na sznurach ciężkie, okute blachą kufry, wielkie komody i kanapy, obite wypłowiałą tkaniną. Z materaców sypało się próchno, z poduszek wylatywało pierze i kręcąc unosiło się po pokoju. Gdy ruszono kozetkę od garnituru, ze środka wypadła na podłogę olbrzymia pluskwa. Przez chwilę leżała nieruchomo, jakby czekała, aż się uciszy. Potem zaczęła się posuwać powoli i ostrożnie, widocznie badając nowy, nieznany teren, — i po świeżutkiej, lakierowanej, olśniewająco białej ścianie przedostała się na sufit.

II

Przedpokój i okrągła sala, przeznaczona na czerwony zakątek, były to najgorsze pokoje w tem pięknym mieszkaniu. Lecz Tania wydały się one pałacem z bajki w porównaniu z ciemnym kątem w starym, nawpół rozwalonym domu na Psim Placu, gdzie mieszkała przez trzy ostatnie lata. Tam było ponuro, duszno, wilgotno. Słońce ledwo przeziarało przez mętne szyby małych staroświeckich okienek. Tutaj panowała idealna czystość; powietrze było przesycone zapachem zieleni i kwiatów, pokoje zalane słońcem i Tania, stanawszy na progu, przymknęła oczy, olśniona blaskiem.

— Och, ile tu słońca!

Uśmiechnęła się i zaczęła poruszać rękami.

Lekko zadarty nosk nadawał jej twarzy czceniawny, dziecinny wyraz. Długie, puszyste, wygięte rzęsy drgały życiem. Jak najczulszy barometr, odbijały one w mgnieniu oka wszystkie uczucia, wrażenia i nastroje dziewczyny. Kiedy się śmiała, rzęsy podnosiły się radośnie ku górze — jakgdyby rozkwitały pod wpływem jasnych promieni jej błyszczących oczu; gdy się smuciła — kurczyły się, jak więdnące płatki uschniętego kwiatu; a gdy się gniewała — rzęsy prostowały się i zaostbrały, jak pociski, gotowe za chwilę przeżyć wroga. Będąc żywymi częściami zawilego mechanizmu duchowego, nie pozostawały one ani chwili w spokoju, zmieniając bezustannie kształt i wyraz i czyniąc twarz swej właścicielki niezwykle ruchliwą.

(d. c. n.)

GŁOS Z ZA ŚWIATA

TRZEJ PRZYJACIELE

Życie nasze pełne jest niespodzianych spotkań. Nie dziwią one przeważnie nikogo. Przypuśćmy nawet, że jest to zgoła nieoczekiwany wypadek, lub też działanie sił nadprzyrodzonych, które kierują ludźmi: zastanowi nas w każdym razie spostrzeżenie, jak ten świat jest mały.

W roku 1918, po powrocie z wojny, znaleźliśmy się pewnego wieczora, trzej towarzysze dzieciństwa, na tarasie kawiarni de la Paix. Postanowiliśmy zjeść wspólnie obiad w kabarecie, co, jak sądzę, było zupełnie naturalne, tem bardziej, że pragnęliśmy dowiedzieć się wzajemnie o sobie bliższych szczegółów. Jakkolwiek po wyjściu ze szkoły drogi życia każdego z nas były odmienne, zawody najzupełniej różne, a nawet jeden mieszkał w Wersalu, drugi w Paryżu, a ostatni w odludnem miasteczku w Burgundji, mimo to każdy z nas był świadkiem pewnej części jednego i tego samego dramatu. Co więcej, bez jednego słowa uprzedniego wyjaśnienia i nie podejrzewając, dokąd nas to zaprowadzi, powzięliśmy owego wieczora myśl opowiedzenia sobie tego, czego właśnie byliśmy świadkami. W rezultacie uświadomiliśmy sobie, że byliśmy nie tylko świadkami *tego samego zdarzenia*, lecz do dnia dzisiejszego jedynie my właśnie wiemy, jak się rzecz miała, podczas, gdy ci, *co w tym dramacie brali udział, nie zdają sobie z niczego sprawy*. Pytanie: „Dlaczego?” obudzić się musi w każdej istocie myślącej, a jest ono tem bardziej niepokojące, że nie można na nie znaleźć żadnej odpowiedzi.

Otrzymane przez każdego z nas wrażenie było tak silne, że postaram się nie tylko zdać dokładnie sprawę z opowieści, które uświetniły ten dziwny wieczór, ale zaopatrzyć je jeszcze w ważne słowa, a te posłużą wam jako wstęp, czy przedmowa — co kto woli.

Po skończonym obiedzie, o ile mnie pamięć nie zawodzi, siedzieliśmy z łokciami wspartymi o stół, z zapalonemi papierosami w ustach, wciągając w nozdrza zapach wonnej czarnej kawy, gotowi, według słów pewnego humorysty, „podpisać się nawet na nieśmiertelność duszy”.

Przygotowaliśmy się do rozmowy o rzeczach zupełnie obojętnych. Jako ci, którzy naprawdę brali czynny udział w wojnie, nie mieliśmy najmniejszej ochoty o niej mówić. W odpowiedzi na pytania co do naszych zawodów, każdy czuł się szczęśliwy, mogąc naszkicować grubemi rysami swe życie *przedwojenne*. Dowiedziałem się więc, że mój przyjaciel Tinant, nauczyciel prywatny i niegorszy włóczęga, wykłada w kolegium R. w Paryżu; że, przeciwnie, Piotr Duclos, wstąpił przezornie w ślady swego zmarłego ojca, doktora Duclos, naczelnego lekarza szpitala w Semur, wreszcie, że żaden z nas nie był jeszcze żonaty. Najciekawszy nawet wysiłek w walce o byt wydaje się rzeczą drobną, kiedy należy już do przeszłości.

Ale zaledwie rozejrzeliśmy się w przebiegu naszego życia dotychczasowego, zainteresowanie znikło i ciekawość nasza została zaspokojona. Roz-

mowa zeszała na ton obojętny, nieco nieśmiały, starannie podtrzymywana w ciasnych ramach, aby nie stała się oziębłą, ale również, by nie zdradzić się ze swemi własnymi wewnętrznymi pragnieniami. Po pierwszych serdecznych wylewach nastąpiło wyczerpanie, być może rozczerwanie. Spostrzeżliśmy, że w istocie jesteśmy sobie równie obcy, jak przed naszymi zwierzeniami, lub też, powtarzam, czuliśmy się pełni melancholji, albo — co na jedno wychodzi — gotowi do rozważań metafizycznych.

I stało się, że nieoczekiwanie Piotr Duclos przerwał to krępujące milczenie i pierwszy wszedł na drogę opowieści, czego właśnie najbardziej pragnąłem.

— Rachunek zamknięty — oznajmił — przetrwało się cztery ciężkie lata; jaką z nich wyciągnęliśmy naukę. Ja żadnej... Zaledwie jakieś jedno, dwa świadectwa do rozjaśnienia tych spraw, które już znałem: naprzykład oczywiście się stało, że wojna jest tylko męką, wielkim potokiem cierpień, pędzącym na swych falach część ludzkości, ale jest to cierpienie zbiorowe, wśród zgiełku! Tak, teraz staje mi się zupełnie jasne, dlaczego szarlatani operują wśród mas i przy dźwiękach bębna. Czynią tak nie dla tłumienia jęków pacjenta, lecz dlatego, aby zmniejszyć zdolność odczuwania, przytłumić wrażliwość. Chciałbym to jasno wyrazić: nowa wojna przeraziłaby mnie mniej, niż pokój, który czyha na każdego z nas, gdyż pokój jest milczący, a wtedy jest się zupełnie osamotnionym... Powiem to wam inaczej: przypuszczam, a nawet zostałem przekonany, że cierpienie bierze swój początek najczęściej ze źródeł nieodpowiedzialnych, nieświadomych tego, co wywołują. W życiu zwykłem chodzi się, powraca, mówi się, nie mając żadnych złych zamiarów; a ponieważ poszło się na prawo, zamiast na lewo, wypowiedziało się jakieś słowo zamiast innego; gdzieś w oddali ktoś wskutek tego cierpi, ktoś — o czyjej egzystencji nawet się nie wiedziało. W każdym razie igraszki tego ludzkiego zwierzęcia, rozsiewającego nieszczęście dookoła siebie w sposób zagadkowy, ukazały mi się w świetle wydarzeń, które uważam za wyjątkowe. Wojna, przeciwnie — rozjaśnia. Żołnierz celuje w kierunku wskazanym, ponieważ taki otrzymał rozkaz. Strzał padł; ciało się zważyło; morderca nie zna swej ofiary, nigdy nie dowie się, dlaczego zabił, a nawet często, że zabił. Spełnił tylko swoje rzemiosło... I oto wszystko... My również mniej więcej wykonywamy swoje... Więcej tylko ognistych strzałów, więcej schronisk do ucieczki, kule przylecą niewiadomo skąd. Jest to również wojna, tylko teraz nie widać nieprzyjaciela i pada się bez świadków... zupełnie samemu...

Przypominam sobie, że, mówiąc to, Piotr Duclos przy każdym początku zdania uderzał łyżeczką o spodeczek, jakby chciał nadać więcej mocy temu, co mówił. Wypowiadał się jednak z pewnem wahaniem, w taki sposób, jak człowiek, który po długiem rozważaniu znanych sobie myśli doszedł wreszcie do zadowalającego ich wyjaśnienia.

Odpowiedziałem mu nieco ironicznie:

— Jeżeli tam jest cała radość, jakiej dostarcza ci widok firanek u okien, znajduję, że jest ona bardzo nędzna.. Już choćby ze względu na przykrość, jakiej doświadczamy przy objęciu jakiegoś zawodu, spokój nie ma wesołego oblicza. Nie czuję się równie tak dzikim, gdy ty mówisz: przedewszystkiem mam w pogardzie takie, jak twoje życie, podczas gdy ja jestem szczęśliwy, że je jeszcze posiadam.

Z kolei odezwał się Tinant:

— Nie gardząc samem życiem, wolno nam roztrząsać jego mechanizm. Ale bezskutecznie wyciągamy wnioski i snujemy marzenia o powstrzymaniu nieszczęścia, istniejącego gdzieś na drodze, która nas ku niemu prowadzi.

Łyzeczka Duclosa zaczęła na nowo dzwonić gwałtownie:

— Czyż mogę pragnąć czego innego, jak ustalenia rzeczy trwałej? Powtarzam, że pokój ustanawia wojnę indywidualną. Człowiek bezwiednie lub świadomie stwarza cierpienie, poczem ono samo się zbliża.

Żywo zaprzeczyłem.

— I wszelki wysiłek ludzki nie ma nic innego na celu, jak zwalczanie tego cierpienia; kto może, niech się zgodzi!

— Pogodzić zachodzące między niemi przeciwieństwa — podpowiedział Tinant — jest również czysto ludzkie: czego dowodzi Czerwony Krzyż i walka...

Ale Piotr Duclos, zwrócony do mnie, mówił dalej:

— Wszelki ludzki wysiłek dąży całkowicie do szczęścia: czy przez to jesteśmy mniej nieszczęśliwi? Między naszymi pragnieniami a rzeczywistością wznosi się zawsze nieprzekraczalna zaporą praw fizjologicznych. Tak samo, jak zaniedbane pole zarasta ostem i pokrzywą, z czem zboże nigdy się nie zmiesza, tak samo zaprzędany sobie świat płodzi tylko cierpienie i niczego innego nie znosi. Ach! nie pytam nawet, dlaczego i kogo ono dosięgnęło! Wystarczają mi bezpośrednie fakty. Powszechność cierpienia i jego konieczność, oto w gruncie rzeczy tajemnica, która nawiedzała mnie podczas całej wyprawy wojennej — nie są to ani zwycięstwa, ani rozejmy, ani pokój, przeszkadzające nam czatować na odroczenie się goziny!

— Skąd przybywa nieszczęście? do czego może ono służyć? — westchnął znów Tinant. — Bardzo stare zagadnienie, któremu żadna metafizyka nie zaradzić nie zdoła, bez poślizgnięcia się. Jeżeli Bóg jest, jakże można z niego wyprowadzać zło? Jeżeli zaś wszystko jest przypadkiem, czemu zwraca się zawsze i wyłącznie złą stroną? W każdym razie ludzkość czegoś się wyrzeka, nie przestając się użalać: Duclos, spóźniłeś się...

Przeglądałem mu się: usta ożywił mu sceptyczny uśmiech, a wyraz całego oblicza stał się bardzo poważny. Być może, że równie, jak Duclos, obawiał się czasów, które miały nadejść.

— Bah! — zawołałem — pozostawmy na bok metafizykę i to, co niepokoi filozofów. Ja sam niejednokrotnie spostrzegłem, że prawo natury jest bezlitosne dla żyjących. O ile cierpienie jest koniecznością, może jest to konieczność dobroczynna!

Wszyscy wykrzyknęli.

Jak to się często zdarza, podniecony tą sprzeczką, nalegałem:

— Czyż to nie jest pewne, że cierpienie przekształca, udoskonalając? Fizycznie można je przyrównać do poręczy nad przepaścią, co zabezpiecza przeciw możliwym bezprawiom. Moralnie obija młotkiem dusze, wydobywając z nich najdoskonalsze dźwięki, tak, jak tygielek do topienia metali, oczyszcza to, co pochłania!

— Rozumiem, — przeciał Tinant: — pomaga również niedowiarkom do nawracania się!

— A przynajmniej wierzących nie popycha do buntu! — dorzucił Piotr Duclos, wzniosłszy w górę ramiona.

I wreszcie dokończył:

— To jedno jest widoczne, że cierpienie jest niesprawiedliwe!

— Lub niezrozumiałe — wyraził bardziej zwięźle Tinant.

— Raczej niewytłumaczalne — przerwałem.

— Tem gorzej!

W żarliwości tej dysputy wszyscy powstałiśmy z miejsc. Namiętność, która nas nagle ogarnęła, była naprawdę interesująca. Żaden z nas jednak nie zdawał się jej spostrzegać.

I wówczas to, powodowany jakąś dziwną intencją, oświadczyłem:

— Dość już tej rozmowy w ciemnościach: jeden prawdziwy, z życia wzięty przykład, dokona więcej, niż cała godzina teorii. Dajcie mi go, a będę w stanie wykryć niesprawiedliwość tego cierpienia, zwanego przez was niesprawiedliwością, a które może być jest tylko doskonałą sprężyną życia.

— Przykłady! — zawołał Piotr Duclos. — Czy chcesz choć jeden?

— Ależ, naturalnie!

— Jakiegokolwiek będą fakty przytoczone przez Duclosa i wnioski stąd wysnute, zawczasu obowiązuję się dostarczyć inne, wykazujące najzupełniej przeciwne wyniki! — zawołał Tinant.

— Zgodą! Ty masz głos! A potem... potem dajmy na to, będziemy, jak już mówiłem — wyciągać wnioski, lub, o ile nie dojdziemy do niczego, co się często zdarza, w każdym razie będziemy mieli pozory zewnętrzne, a samą istotę rzeczy pominiemy.

— Czy rzeczywiście — pytał Piotr Duclos — życzysz sobie tego?

— Opowieści twojej i Tinanta?... Pod jednym jednak warunkiem...

— Jakim?

— Żadnych wojennych opowiadań.

— Hm, mój drogi, czyż właśnie przed chwilą nie mówiłem, że prawdziwie tragiczne wypadki zdarzają się przedewszystkiem w czasach pokoju, tam — gdzie ich nikt nie podejrzewa?

Za ogólną zgodą wszyscy powróciliśmy do swoich miejsc. Przez chwilę słychać było tylko zgiełk bulwarów, wpływający do pokoju, tak różny od dawnego, pospolitszy i mniej urozmaicony. Piotr Duclos, wypiwszy jednym haustem swoją kawę, odsunął filiżankę i rozpoczął zapowiedzianą opowieść. Tinant i ja oczekiwaliśmy jakiejś anegdoty: wszyscy razem nie wiedzieliśmy, dlaczego rozmowa przyjęła tak nieoczekiwany zwrot, a nie mogliśmy przewidzieć uczuć, jakie nami owładną i światła, które nas wkońcu olśniło.

I.

Zbytecznem byłoby oznajmiać, że nie nie ukrywę, prócz nazwisk. Cóż one nas obchodzą! Istotnym celem jest rzecz sama. Nie byłem nawet osobistym świadkiem wszystkiego: niektóre zdarzenia widziałem, inne — odgadłem... Czegóż więcej trzeba? nigdy się nie jest całkowicie świadomym cudzej myśli: czyż może to przeszkodzić dowysnuwania wniosków właściwych? Natomiast nie będę robił z tego tajemnicy, gdzie rozgrywała się cała sprawa. Dom, ulica, miasto: to są te najważniejsze czynniki, bez których postęпки nie tłumaczą się jasno. Taki koniec byłby niemożliwy w Paryżu, taka znów ulica nie do pomyślenia w Messynie: może być usprawiedliwiona jedynie w Semur.

Ale zapomniałem, że jako mieszkańcy Dijon nie znacie Semur, gdzie mogliście być tylko przejazdem.

Wyobraźcie sobie urwiste skały wzdłuż brzegów morskich, najeżone wieżyczkami fortecy, okrążone ze wszystkich stron rzeczką, z wyjątkiem wąskiego międzyrzecza, gdzie skały zlewają się w płaskowzgórze, ujęte odnogami rzeki, trudno dostępne, u brzegów postrzępione.

W dawnych czasach forteca otaczała to płaskowzgórze, natomiast miasto, okolone ochronnym szansem, rozrastało się bez żadnego ładu, aż po sam kraniec płaskowyżu, skupiając wieżycę, katedrę i swe brzuchate domy. Już za czasów Ludwika XI forteca straciła swe znaczenie. Henryk IV zaś, mszcząc się na kilku uczestnikach Ligi, kazał ją zupełnie zburzyć. Obecnie jedynie linja murów oraz cztery olbrzymie wieże, dotychczas nietknięte, są świadkami królewskiej zemsty w oczach ludu, dla którego jest to najzupełniej obojętne.

Przypuszczacie zapewne, że ta dygresja moja jest zbyteczna... Otóż nie, bez tego nie moglibyście zrozumieć rozdzielenia Semur na dwie różne, ry-

walizujące ze sobą części: a więc jedna — to stare miasto, upiększone na wzniesieniu starożytnymi domami z XIV i XV wieku, oraz zamek, zbudowany przy końcu wielkiego stulecia, odpowiednio dla swych dostojnych mieszkańców. Jedynie ta część miasta upierała się przy życiu, jak za czasów dobrego księcia Filipa. Druga, pod mianem *Rempart* (Szaniec), spała w całej swej wielkości, a glazy, otaczające ją, wydawały dźwięk płyt kamiennych, jak w klasztorze.

Jednem słowem, miasto w upadku. Przepiękne okolice kraju, bujne i płodne ziemie, a mimo to pasieki opuszczone, robactwo snuje się nawet wśród dnia jasnego. I czemuż to? Nikt nie wie. Na ulicach niema żadnego ruchu, tu i ówdzie ktoś powraca do domu. Nie widać ani przechodniów, ani pojazdów. Dziw jeszcze, że kupcy robią wystawy sklepowe. W witrynie okna księgarni, pomiędzy połówkami od słońca biletami wizytowymi, śpi jakiś kot, a dalej widać fotografię szpitala, staroświecką portmonetkę. Mimo to wszystko — kocham ten mój kącik rodzinny. Każdy kamień ma tu swoją historję, kościół podobny do klejnotu; kręte uliczki, a wylot każdej z nich otwiera piękny widok na niebiosy. Wszędzie daje się wychylać jakaś tajemnica, w pewien właściwy sposób otacza cię cisza, pomimo, że nie odczuwasz osamotnienia. Jedynie u nas tylko można spotkać coś podobnego, jakaś świadomość wszystkiego, zaiste, dziwna przenikliwość przy nader skromnych pozorach.

Ale — do rzeczy!

W 1907 r., po powrocie do ojca w Semur, począłem zaznajamiać się z jego klientelą. Pewnego wieczora około godziny jedenastej przeraziło nas gwałtowne kołatanie do drzwi. Służba już spała. Ojciec mój czytał tuż przy mnie, zwrócił się zatem, mówiąc:

— Otwórz okno i zobacz, kto przyszedł?

(d. c. n.)

CAMI

NA ŁONIE NATURY

(Krótka tragedia humorystyczna).

Akt I.

ŚWIETNY POMYSŁ

(Scena przedstawia skromne mieszkanko w wieczór sobotni.)

Biurokrata, łaknący powietrza (wchodzi z wesołą miną): Droga żono-domatorko: przynoszę radosną nowinę. Jutro, w niedzielę, urządzimy wspaniałą przejażdżkę za miasto, na łono natury z naszymi sześciorgiem dzieci oraz „teściową, która trąci myszką”. Pogoda zapowiada się cudowna.

Zona-domatorka: Czy jesteś niespełna rozum, drogi mężu, łaknący powietrza. Wszak wiesz doskonale, że nie stać nas na urządzenie kosztownych wycieczek.

Biurokrata, łaknący powietrza: Wiem. Ale dziś popołudniu spotkałem naszego kuzyna Ernesta, który zatrudniony jest jako szofer w zakładzie przewozowym. Jutro, w niedzielę, ma dostarczyć meble klientom w Normandji, którym zależy na pośpiechu. Przyszła mi więc do głowy świetna myśl. Poprosiłem naszego kuzyna Erne-

sta, by zechciał zabrać nas wszystkich na wycieczkę na wieś. Chętnie się zgodził. Jutro rano przyjedzie po nas swoim wehikułem. Weźmiemy ze sobą prowianty na całodzienną wycieczkę i spędzimy cudowną niedzielę na łonie natury, zdaleka od dusznej, zapowietrzzonej atmosfery stolicy.

Teściowa, która trąci myszką: Pomysł jest znakomity, sama to nawet muszę przyznać. Nigdybym się tego po tobie nie spodziewała, mój zięciu!

Chór sześciorga dzieci: Hura! Autem na wieś, jak bogaci ludzie!

Zona-domatorka: Ah! Jakaż to będzie cudna niedziela!...

Akt II.

WYJAZD NA ŁONO NATURY.

(Scena przedstawia skromne mieszkanko w niedzielę rano.)

Biurokrata, łaknący powietrza (zbudzony raptownie dzwonkiem budzika): Piąta godzina! Wstawać, wszyscy! (Cała rodzina wstaje i ubiera się).

Zona-domatorka: Wszystko przygotowane! Obiad jest w koszyku: kielbasa, sardynki, zimna cielęcina, szynka i ser! — Istna uczta!

Chór sześciorga dzieci (przy oknie): Ah! Oto jest już i kuzyn Ernest! Jego wóz meblowy zatrzymuje się przed naszym domem! Kiwa na nas ręką, byśmy zeszli! (Cała rodzina schodzi na dół).

Kuzyn Ernest: Macie szczęście! Pogoda jest rzeczywiście wspaniała! (Podnosi tylną zasuwę wozu). Możecie już wsiadać.

Biurokrata, łaknący powietrza: Ależ tu wszędzie pełno mebli!

Kuzyn Ernest: Tak, ale dla was wydzieliłem kawałek miejsca w środku wozu, pomiędzy kredensem w stylu Henryka II a pianinem. Jeżeli trochę się ściśniecie, będzie wam nader wygodnie.

(Rodzina z trudem przeciska się pomiędzy natłoczonymi meblami i wkońcu udaje jej się pomieścić w małym kąciaku, wydzielonym przez kuzyna Ernesta.)

Kuzyn Ernest: Ulokowaliście się... Więc zamykam zasuwę zpowrotem i jazda!

Biurokrata, łaknący powietrza: Jakto? Zamykasz? Ale przecież w takim razie nie nie będziemy widzieli?

Kuzyn Ernest: Nie można inaczej. Jeżeli zasuwę pozostanie otwarta, meble mogą wypaść po drodze! (Zamyka zasuwę i wewnątrz wozu robi się ciemno, choć oko wykol).

Biurokrata, łaknący powietrza (woła od wewnątrz): Czy nie moglibyśmy przynajmniej dostać świecy?

Kuzyn Ernest (z zewnątrz): Ależ, co też wam przychodzi do głowy! Żeby narazić się na niebezpieczeństwo pożaru!... A więc ruszamy! Trzymajcie się mocno! (Wóz ciężarowy rusza.).

Zona-domatorka: Oj!... Przekłète ciemności! Na zakręcie huknęłam się w oko o kant kredensu.

Chór sześciorga dzieci: Jak prędko jedziemy! Jesteśmy już chyba bardzo daleko! Szkoda, że nie widać krajobrazu!

Biurokrata, łaknący powietrza: Ah! Patrzcie! To cudowne! W podłodze jest mała szparka! Jeżeli położyć się na brzuchu, to można dojrzeć skrawek gościńca pod samochodem (kładzie się na brzuchu i przykłada oko do szpary). Jaka piękna pogoda! Słońce świeci jasnym blaskiem! (Przytyka nos do szpary i wciąga powietrze). To już jest całkiem inne powietrze, niż w Paryżu. Jakie czyste! Pachnie sianem!

Teściowa, która trąci myszką. Na pomoc! Zięciu!... Wpadłam do wanny!... (Biurokrata pomacku próbuje przyjść z pomocą swej teściowej, potrąca przytem zegar ścienny, który spada, pociągając za sobą różne inne przedmioty).

Zona-domatorka: Ojej! Moja głowa!

Biurokrata, łaknący powietrza (dziwnym, jakby z oddalenia dobiegającym głosem): Chwileczkę, do kaduka!... Moja głowa tkwi w lampie, a moje nogi w wieszaku...

Teściowa, która trąci myszką: Oh! Popamiętam ja twoją piękną niedzielę! Popamiętam ją!

Biurokrata, łaknący powietrza: Aha! Chcesz mi dokuczyć! Jeżeli nie lubisz wycieczek na wieś, to mogłaś przecież zostać w domu!

Akt III.

POBYT NA ŁONIE NATURY.

(Scena przedstawia gościniec o godzinie trzeciej popołudniu).

Biurokrata, łaknący powietrza (w wozie): Po przybyciu do naszego miejsca przeznaczenia, pomagaliśmy kuzynowi Ernestowi przenosić meble do willi klientów. Jesteśmy śmiertelnie zmordowani i mamy ręce pełne bąbli; pianino omal nie zmiażdżyło mi jednej nogi, ale zato teraz skierujemy się nareszcie do lasu, gdzie spożyjemy śniadanie na łonie natury.

Kuzyn Ernest: (Zatrzymując wóz): Otóż i jesteśmy w lesie. Wsiadźmy, tu można będzie w miłym nastroju spożyć śniadanie. (Cała rodzina wysiada). Masz ci los! Zaczyna padać! Burza nadciąga! — Szybko wsiadać zpowrotem! (Cała rodzina wsiada zpowrotem).

Kuzyn Ernest: Ha, cóż robić! Przecież to istny potop. Będziemy musieli zjeść śniadanie wewnątrz wozu. (Wsiada również i zamyka zasuwę).

Biurokrata, łaknący powietrza: Jakto? Znowu zamykasz?

Kuzyn Ernest: Nie mogę na to nic poradzić, deszcz zniszczyłby obicia! Ale zaraz! Mam przy sobie latarkę elektryczną, przy jedzeniu nie potrzeba nam więcej światła! (wyjmuje lampkę z kieszeni i śniadanie rozpoczyna się w nieszczeólnym nastroju).

Biurokrata, łaknący powietrza: Znowu pech! Teraz i lampka się wypala!... Bateria jest zużyta. (W wozie panuje znowu nieprzenikniona ciemność).

Teściowa, która trąci myszką: To skandal!... Któż to mi wciąż napycha usta pasztetem wątrobianym?

Biurokrata, łaknący powietrza: Przepraszam cię, teściowo, ale w tej ciemności tak trudno jest znaleźć swoje własne usta... Omyliłem się... (wszyscy w dalszym ciągu spożywają śniadanie w ciemności).

Kuzyn Ernest: Na wsi jest, i owszem, bardzo ładnie, ale teraz musimy już wracać. Mam jeszcze tylko tyle czasu, by odebrać we wsi dwie skrzynki i trzy koszyki; a potem jedziemy zpowrotem do Paryża!

Biurokrata, łaknący powietrza: Dwie skrzynki i trzy koszyki?

Kuzyn Ernest: Tak. Dla szwagra mego szefa, który ma skład w Paryżu, dwie skrzynki sera i trzy kosze z rybami. (Wóz meblowy rusza i zatrzymuje się we wsi, by załadować dwie skrzynki i trzy kosze. Potem kuzyn Ernest, mimo sprzeciwu całej rodziny, zamyka znowu wóz i pogrąża całą rodzinę, ser i ryby w ciemności. W Paryżu rodzina, napół przytomna, opuszcza wóz ciężarowy kuzyna Ernesta).

Teściowa, która trąci myszką: To okropne! Cuchniemy wszyscy rybą i serem!

Zona-domatorka (słabym głosem): Po takiej wycieczce na wieś byłoby rzeczą nierozsądną pójść od razu do domu. Musimy przedtem zaczerpnąć trochę powietrza...

Biurokrata, łaknący powietrza: Tak, to prawda. Przestało już padać. Chodźmy trochę na Wielkie Bulwary!

(Przełożył M. Głuski).

HUMOR ZAGRANICZNY

KUCHTA W PENSJONACIE.

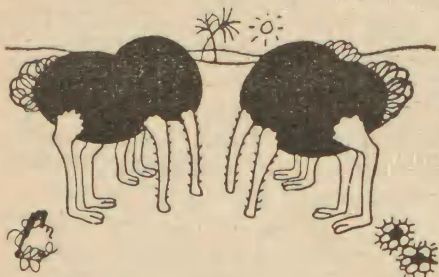
WYWRÓŻYŁA...



Raz, dwa, trzy, cztery, pięć — wizyta.
Raz, dwa, trzy, cztery, pięć — niezna-
jomego mężczyzny...



— To właśnie do mnie telefon!



Bał maskowy u strusi.

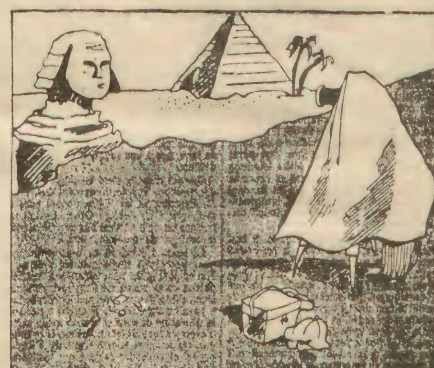
W KAWIARNI LITERACKIEJ.



Panie, jeżeli pan raz jeszcze zanurzy
swoje parszywe pióro w mojej kawie,
to dam panu słowo, że napełnię moje
wieczne pióro pańską czekoladą.

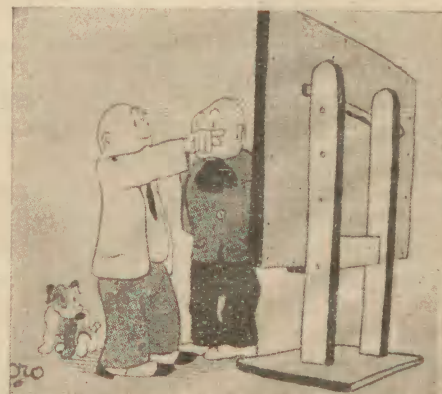


— Niech się pan nie fatyguje i nie mó-
wi do mnie, bo ja jestem głuchy.
— Ja wcale nie mówię, ja jem!



— Proszę się mile uśmiechnąć.

U MALARZA.



— A ta osobistość z prawej strony na
obrazie — to kto?
— To głowa kapusty...